

Janusz Solak

Etnocentryzm polski i rumuński w "Europie ojczyzn"

Rocznik Integracji Europejskiej nr 3, 241-254

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JANUSZ SOLAK

Warszawa

Etnocentryzm polski i rumuński w „Europie ojczyzn”

Od 2004 roku Rumunia jest członkiem Sojuszu Północnoatlantyckiego, od roku 2007 również pełnoprawnym członkiem Unii Europejskiej. Tym samym stała się – po raz kolejny w historii – najbliższym sojusznikiem Polski. Politycznym, militarnym i gospodarczym. W sytuacji, kiedy polscy politycy spotykają się z rumuńskimi w Brukseli, żołnierze Wojska Polskiego służą w misjach pokojowych i bojowych w świecie razem z żołnierzami rumuńskimi, polscy i rumuńscy biznesmeni nawiązują kontakty handlowe, warto pamiętać, że Polska darzona jest w Rumunii sympatią jak chyba w żadnym innym państwie Europy. Polacy, zapatrzeni w swoją „wyjątkową rolę” w Europie, nie dostrzegają, że Rumuni także kontynuują własny proces przeobrażeń systemowych, zapoczątkowanych krwawą rewolucją w grudniu 1989 roku. Doświadczyli „swojego” totalitaryzmu w latach 1945–1989, odrzucili system władzy autorytarnej na rzecz demokratycznej, przeszli skomplikowaną drogę od systemu monopartyjnego do pluralistycznego, od gospodarki scentralizowanej do rynkowej. Borykając się przy tym z podobnymi problemami, co Polska, włącznie z *cohabitation* pomiędzy prezydentem i premierem, reprezentującymi odmienne opcje polityczne. Wyznają też te same euroatlantyckie wartości i oczekują identycznych gwarancji bezpieczeństwa¹.

Postawy Polaków i Rumunów wobec poszczególnych narodowości są, z jednej strony – wypadkową wpływów zdarzeń historycznych i tradycyjnych stereotypów, z drugiej – wynikają z bieżących wydarzeń i nastrojów społecznych. Jednych i drugich cechuje megalomania narodowa: przekonanie o wyższości, o niezwykłości własnych narodów, o pochodzeniu od sławnych ludów historycznych, o szczególnym stosunku do Boga i chrześcijaństwa, o wyższości własnej kultury i obyczajów, i w prostej linii – o wyższości własnego narodu nad innymi, a przez to przekonanie o szczególnej misji dziejowej i posłannictwie wobec innych – tak wśród Polaków, jak i Rumunów jest powszechne.

Legendy o sarmackim rodowodzie i sarmackim (rozumianym jako hołdującym starszylackim poglądom i obyczajom) charakterze Polaków, starannie maskują fakt, iż Sarmaci to koczowniczy lud pochodzenia irackiego zamieszkujący przed wiekami tereny nad Wołgą. Mit o dackiej przeszłości służył rumuńskim nacjonalistom do negocjowania wszelkich roszczeń osiadłych od wieków innych grup etnicznych, szczególnie Węgrów do kulturowego dziedzictwa Siedmiogrodu. Powołując się przy tym na ustęp z Herodota, w którym mowa o Dakach – najdzielniejszych spośród Traków, pomijali milczeniem inne fragmenty tego samego dzieła, gdzie autor stwierdza, że Dakowie uważali pracę na roli za poniżającą, a największą przyjemność znajdowali w bezczynności.

¹ J. Solak, *Rumunia – Narodowe i ponadnarodowe aspekty integracji ze strukturami euroatlantyckimi*, Toruń 2004, passim.

Tak Polacy, jak i Rumunii uważają się za „Chrystusa narodów”, ostoję i przedmurze chrześcijaństwa w Europie. Polski mesjanizm – hasło, że prawdziwym zadaniem Polski nie jest nawet utrzymanie niepodległości, lecz misja zbawienia Europy – głoszony jest bez żenady przez polskich eurodeputowanych z Ligi Polskich Rodzin (LPR), ultrakatolickiego i ultranacjonalistycznego ruchu politycznego. W roku milenijnym na rogatkach rumuńskiej Konstancy rzucał się w oczy ogromny transparent „2000 lat chrześcijaństwa w Rumunii”. Dumna teza, pod warunkiem wszakże, że Chrystus był Rumunem! Ale czy nie podobnie uważał Mircea Eliade w swojej *Historii Rumunów? Zgodnie z dewizą, iż „każda władza pochodzi od Boga”, predestynowana rola państwa narodowego znajdowała i znajduje wsparcie w religii prawosławnej, tradycyjnie sympatyzującej z władzą świecką. W tym kontekście „Matka Rumunia” jawiła się jako wartość najwyższa, a każdy, kto się wahał z okazaniem jej pełnego poparcia, uznawany jest za zdrajcę – zauważa w *Wizjach zbawienia* Vladimir Tismeanu².*

Teza Tismeanu o mentalności narodów upokorzonych, spychanych do defensywy, które na drodze kompensacji tworzą sobie narodową mitologię, ideę narodowej misji dziejowej, ćwiczą się w nienawiści do zewnętrznych wrogów, wreszcie ruszają do ofensywy wymierzonej w narody słabsze, stała się udziałem i doświadczeniem zarówno polskim, jak i rumuńskim, po części aktualnym do dziś. Powtarzane nieustannie argumenty o męczeństwie polskim i wynikającym z tego faktu romantyzmie polskiej świadomości narodowej są sprzeczne w oczywisty sposób z rzeczywistymi działaniami. Polska świadomość narodowa, ukształtowana pod wpływem brutalnych represji, przybrała kształt podobny do innych narodowych kultur na obszarze Europy Wschodniej. Reguła ta sprawdza się wobec Polski i równie ciężko doświadczonej przez historię Rumunii, ale także – o czym ani Polacy, ani Rumunii nie chcą pamiętać – nie mniej ciężko doświadczonych ich małych sąsiadów: Litwy i Mołdawii.

Po oficjalnym odejściu od komunizmu kolejne ekipy rządzące, chcąc utrzymać się u władzy, wykorzystywały strategię uciekania się do tradycyjnych form nacjonalistycznej manipulacji, eksponowania przemawiających do społeczeństwa symboli narodowych i akceptowania wszelkich dziwacznych transformacji ideologicznych, włącznie z przyjmowaniem tak długo negowanych wartości religijnych. Obie władze, świeckie i religijne, w zabiegach o „rząd dusz” wychodziły naprzeciw oczekiwaniom społecznym. Głoszone nie tylko przez ugrupowania prawicowe antyeuropejskie i nacjonalistyczne hasła znajdowały spore poparcie. Także socjaldemokraci i liberałowie hołowali bardziej „miękkiej” formie nacjonalizmu obywatelskiego, bo pozbawionego ksenofobii.

Gdy na polskiej scenie politycznej (2001–2007) specyficzne miejsce zajmowała wspomniana już Liga Polskich Rodzin, programowo antyeuropejska, stawiająca sobie za strategiczny cel wyprowadzenie Polski z Unii Europejskiej, w jakimś sensie jej ideowymi odpowiednikami w Rumunii były Partia Wielkiej Rumunii (*Partidul România Mare* – PMR) oraz Rumuńska Partia Zjednoczenia Narodowego (*Partidul Uniunii Naționale Române*), radykalne ugrupowanie antywęgierskie, związane z ultraszowinistycznym ruchem „Rumuńskie Ognisko” (*Vatră Românească*). Te z kolei głosiły otwarcie hasła nacjonalistyczne. W latach dziewięćdziesiątych domagały się inkorpo-

² V. Tismeanu, *Wizje zbawienia*, Warszawa 2000.

racji Besarabii, czyli suwerennego państwa mołdawskiego oraz Północnej Bukowiny, czyli części państwa ukraińskiego, obecnie, po przystąpieniu Rumunii do UE, żądają ograniczenia praw mniejszości narodowych, zwłaszcza węgierskiej. I w Polsce, i w Rumunii ich elektorat wywodził się z kręgów społecznych ponoszących największe koszty transformacji ustrojowej. Głoszone przez nie hasła znajdowały posłuch wśród bezrobotnych z regionów strukturalnego bezrobocia i biedy. Łamiąc klasyczny paradygmat politycznej lewicowości i prawicowości. Zarówno Liga Polskich Rodzin, jak i Partia Wielkiej Rumunii postrzegają się jako centroprawicowe, chadeckie i europejskie. Przed referendum w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej (2003) Liga Polskich Rodzin – jako jedyne z większych ugrupowań politycznych – konsekwentnie opowiadała się przeciw włączeniu Polski do struktur unijnych. Programowy eurosceptycyzm przekuła w polityczny sukces; w roku 2004 w wyborach do Parlamentu Europejskiego uzyskała drugi wynik w kraju (15,92%) i dziesięć mandatów eurodeputowanych. Partia Wielkiej Rumunii posługując się podobnymi hasłami wprowadziła do europarlamentu pięciu deputowanych. Polscy parlamentarzyści odnaleźli się w politycznej frakcji eurosceptyków „Niepodległość – Demokracja”, rumuńscy w „Tożsamości, Tradycji i Suwerenności”, obok takich prominentnych przedstawicieli europejskiej skrajnej prawicy jak Jean-Marie Le Pen (założyciel i przywódca francuskiego Frontu Narodowego) czy Alessandra Mussolini (faszyzująca politycznie wnuczka Benito Mussoliniego)³.

Położona na granicy wpływów szeroko pojmowanego Wschodu, Zachodu i bałkańskiego Południa, niejednokrotnie dotkliwie doświadczona przez zawieruchy historii, stała się Rumunia przez wieki mozaiką kultur i religii. Prawosławne cerkwie i monastyny, protestanckie kirchy i muzułmańskie meczety na trwałe wrosły w pejzaż kraju, a zapędzający je ludzie spowodowali, iż Rumunia była, jest i zapewne zawsze pozostanie państwem wieloetnicznym i wielowyznaniowym. Mniejszości narodowe zajmują szczególnie ważne miejsce we wszystkich sferach funkcjonowania państwa: gospodarczej, społeczno-politycznej i kulturalnej, wszelako na tym tle występowały i długo jeszcze występować będą w napięcia.

Eugene Ionescu, analizując po drugiej wojnie światowej rodzaj plemiennego egoizmu swoich rodaków pisał: „Rumunia chorowała i nadal choruje na nacjonalizm. Zatruli całą kulturę i duszę Rumunów. Z jego powodu [...] kultura rumuńska okazała się niezdolna do osiągnięcia porządku uniwersalnych wartości i pozostała chorą kulturą lokalną. «Specyfika etniczna» okazała się dla Rumunii równie wielką klęską, jak trzęsienie ziemi czy sojusz z Niemcami: sparaliżowała wszelki «élan», uniemożliwiła wszelkie otwarcie, wyjście, odłączenie się, wolność, życie duchowe”⁴.

Wbrew stereotypom w Rumunii nie występują napięcia na tle etnicznym, a problemy narodowościowe odgrywają rolę marginalną. Przynajmniej w kilku ostatnich latach. W Siedmiogrodzie, gdzie uprzedzenia narodowościowe są nadal żywe i odgrywają

³ Spośród 10 deputowanych, którzy weszli do Parlamentu Europejskiego z list LPR, jedynie 2 pozostało w partii i są oni w chwili obecnej posłami niezrzeszonymi, 3 jest nadal we frakcji „Niepodległość i Demokracja”, natomiast 5 przeszło do grupy „Unia na rzecz Europy Narodów”. [Online:] <http://www.europarl.europa.eu/members/expert.do?language=PL> (dostęp: 9.11.2008).

⁴ E. Ionescu, *Război cu toate lumea*, t. 2, Bukareszt 1992, s. 269–270.

ważną rolę polityczną, w wyborach lokalnych w Klużu (Cluj–Napoca) merem wybrano zacieklego wroga wszystkiego, co węgierskie, ale – jakby dla przeciwwagi – w Sybinie (Sybiu) funkcję tę powierzano przedstawicielowi lokalnej mniejszości niemieckiej. W Polsce zjawisko partycypacji w życiu politycznym pod sztandarami mniejszości etnicznych praktycznie nie istnieje.

Wyniki przeprowadzanych w 2002 roku pod egidą Unii Europejskiej narodowych spisów powszechnych były nieukrywanym zaskoczeniem dla rządzących w obu krajach. W Siedmiogrodzie liczba Węgrów spadła o około 200 tysięcy osób i poniżej 20% ogółu mieszkańców w ich tradycyjnych skupiskach miejskich: Klużu i Aradzie. Wynik ten z niekłamanym zadowoleniem powitali rumuńscy nacjonałiści; władze w Klużu poczuły się zwolnione z obowiązku realizacji ustawy o lokalnej administracji publicznej i natychmiast nakazały w całym okręgu usunąć dwujęzyczne tablice informacyjne i zastąpić je wyłącznie tablicami w języku rumuńskim. Wyniki spisu zakwestionowały organizacje mniejszości niemieckiej. Ich liderzy utrzymywali, iż mniejszość ta liczy 80 tysięcy osób, a nie jak podano – 60 tysięcy. Różnica miała wynikać z faktu, iż osoby deklarujące narodowość saską i szwabską, nie zostały zakwalifikowane jako Niemcy. Radość wśród rodzimych polskich nacjonalistów po opublikowaniu wyników przez Główny Urząd Statystyczny była nie mniejsza⁵. Tylko niewiele ponad 400 tysięcy mieszkańców Rzeczypospolitej zadeklarowało narodowość inną niż polska. To trzy, a nawet cztery razy mniej niż mogli się spodziewać. Zaskoczenie było tym większe, że niemal połowę z tych czterystu tysięcy stanowili Ślązacy. A takiej nacji – jak wiadomo – oficjalnie w Polsce nie było i nie ma. Tylko niewiele ponad 150 tysięcy mieszkańców Polski – ku ogromnej frustracji liderów mniejszości niemieckiej – podało niemiecką identyfikację narodową, gdy jeszcze kilka lat wcześniej socjologowie szacowali Niemców na 300 tysięcy, z czego ponad 90 procent miało przypadać na Górny Śląsk, zwłaszcza jego część opolską. Było regułą, że liderzy mniejszości niemieckiej liczbę tę mnożyli jeszcze przez dwa⁶. Zorganizowane, ale organizacyjnie i mentalnie podzielone mniejszości niemieckie w obu przypadkach zapłaciły polityczną cenę: w Rumunii grając na strunach „szwabskiej” i „saskiej” tęsknoty za *Heimatem* zatimizowali rumuńskich Niemców i *de facto* ograniczyli im realne polityczne wpływy; w Polsce nie dostrzegli, że miejscowi autochtoni bardziej utożsamiali się ze Śląskiem i „narodem śląskim” (jako *primus inter pares* narodów europejskich), niż z niemieckim *Vaterlandem*. Większość „prawdziwych” Niemców wyemigrowała z Rumunii do RFN wkrótce po rewolucji 1989 roku; podczas referendum europejskiego w typowo śląskich gminach i miastach województw śląskiego i opolskiego frekwencja i akceptacja akcesji do Unii Europejskiej była najwyższa w Polsce.

Zogniskowaniem specyficznego rumuńskiego „sposobu myślenia, systemu działania” wobec mniejszości etnicznych jest „kwestia cygańska”. Zajmujący zawsze najniższy poziom piramidy społecznej Romowie byli i są solą w oku każdej rumuńskiej władzy. W świetle aspiracji do UE wiązały się z nimi tak trudne i pilne dla państwa bolączki jak przestępczość, analfabetyzm, opieka nad sierotami, nielegalna migracja,

⁵ *Narodowy Spis powszechny Ludności i Mieszkań 2002*, [Online:] http://www.stat.gov.pl/cps/rde/xbcr/warsz/ASSETS_14_metodyczne.pdf (dostęp: 8.11.2008).

⁶ K. Karwat, „*My, naród śląski*”, „Tygodnik Powszechny”, nr 27 z 6.07.2003.

sprawy wizowe. Dopiero od niedawna, i to pod naciskiem UE i OBWE, władze rozpoczęły pracę nad programami, których celem jest podniesienie statusu społecznego i warunków życia Romów, najniższych w całym społeczeństwie rumuńskim. Lecz mimo podejmowanych wysiłków działania te często pozostają bez reakcji z ich strony. Romowie tak naprawdę nigdy nie chcieli i nadal nie chcą przystosować się do współczesnej cywilizacji, nie są też jednolici pod względem narodowym i politycznym, nie rozumieją potrzeby edukowania się i swoich dzieci.

Z kolei charakterystyczną cechą polskiego etnocentryzmu jest swoiste „klasyfikowanie” sąsiadów. Prowadzone badania dowodzą, iż Polacy Niemców „boją się i podziwiają”, Rosjan też się „boją, ale nimi gardzą”, z Czechów i Słowaków „kpią”. Miarą „polskiego” stosunku do innych są dwa stereotypy: bogatego, cywilizowanego „Zachodu” i biednego, zapóźnionego w cywilizacyjnym rozwoju „Wschodu”. Do narodów zaliczanych do „Zachodu” odnoszą się z sympatią, pragną się do nich upodobnić, należeć do ich grona. Od ludów „Wschodu” dystansują się, chcą się od nich odróżnić, oburzają się, gdy się ich do nich zalicza. Rumunii – z polskiej perspektywy patrząc – nie wpisują się nawet w mentalną oś „Wschód–Zachód”. I w tym ich nieszczęście. Sondaż mające określić stosunek Polaków do innych narodowości, w których respondenci określali swój stosunek wpieryw do dwudziestu dwóch, a następnie do trzydziestu czterech innych narodów na skali opisującej uczucia od niechęci do sympatii, wykazały, iż niezmiennie najgorzej odnoszą się oni do Rumunów. Dwie trzecie badanych określiło swój stosunek do nich jako niechętny, 15% obojętny, 6% nie miało zdania, a zaledwie co dziesiąty z respondentów okazał sympatię. Ten pejoratywny obraz mocno utrwalił się w Polsce. W przeciwieństwie do innych nacji nie odnotowano na przestrzeni lat ani znaczącego spadku poziomu sympatii, ani znaczącego wzrostu niechęci do Rumunów. (Badania prowadzono w 1998 i powtórzono w 2006 roku, już po przystąpieniu Polski, ale jeszcze przed przystąpieniem Rumunii do Unii Europejskiej)⁷.

Wyniki badań nie powinny dziwić: są zwierciadłem stosunków polsko-rumuńskich ostatnich lat, w którym odbijają się stereotypy, uprzedzenia, wzajemne sympatie i antypatie, wynikające ze stosunkowo niewielkiej wiedzy Polaków o Rumunii. W zbiorowej świadomości historycznej Polaków nie utrwaliła się jakoś pamięć polsko-rumuńskiego sąsiedztwa, chociaż nie było ono epizodem w dziejach obu narodów i trwało nad wyraz długo – 430 lat: od opanowania przez Kazimierza Wielkiego ruskich ziem Podola i Pokucia i wydarcia Węgrom Rusi Halickiej przez królową Jadwigę Andegaweńską do drugiego rozbioru Polski, a potem – po odrodzeniu się niepodległej Rzeczypospolitej – przez dwadzieścia lat między obiema wojnami światowymi. Długa też była wspólna granica: aż do 1773 roku ponad pięciuset kilometrowa, biegnąca wzdłuż środkowego Dniestru, dalej przez Prut i w pobliżu Seretu. Trwające od XIV do XVII wieku wędrowniki i osadnictwo spowodowały, iż na ziemiach polskich pojawili się Wołochowie, na rumuńskich – Polacy. Ci pierwsi, wołoscy pasterze owiec, zapoczątkowali istniejącą do dzisiaj na południu Polski specyficzną gospodarkę pasterską i kulturę góralską. Słynna, zdawałoby się rdzenna polska, „zakopiańska” góralszczyzna ma wywodzące się jeszcze ze średniowiecza korzenie rumuńskie. Z gwarą włącznie. Z kolei polskość w Ru-

⁷ Por.: *Stosunek Polaków do innych narodów*, Komunikaty z badań CBOS z 1998 i 2006 roku.

munii najczęściej kojarzona jest z północną częścią kraju – Mołdawią i jeszcze bardziej na północ wysuniętą Bukowiną, gdzie w górach zachowało się jeszcze kilka wsi zamieszkałych w większości, a nawet w całości przez Polaków, którzy żyją tam z dawien dawna, byli już w czasach Kazimierza Wielkiego.

Ten „sielankowy” obraz dobrego sąsiedztwa daleki był wszak od ideału. Przynajmniej do końca XVII wieku. Obie strony – nie bez powodów – nie odnosiły się do siebie z pełnym zaufaniem. Polska polityka, oparta na dynastycznych rachubach królów i chronieniu interesów polskiej magnaterii kresowej, wdając się w latach 1607–1615 w osławione „awantury mołdawskie”, przyczyniła się do upadku co bardziej niezależnych rumuńskich władców: Piotra Raresa i Michała Walecznego, niwecząc zjednoczeniowe dążenia tego ostatniego i w konsekwencji doprowadzając do podporządkowania ziem rumuńskich Turcji. Także wśród szerszych mas prawosławnego rumuńskiego społeczeństwa „pańska” i katolicka Polska, forsująca unię religijną i dążąca do stłumienia w tym kraju ogniska prawosławnej propagandy przeciw brzeskiej unii z Kościołem katolickim, sympatii nie budziła. Niektórzy przedstawiciele polskich elit politycznych nie ukrywali poczucia wyższości wobec biedniejszego, słabszego i podporządkowanego obcej władzy sąsiada. Nawet tak oświeconego i wybitnego władcę, jakim był Michał Waleczny, hetman Jan Zamoyski zwykł nazywać „rumuńskim chłopem”. Władcom Rzeczypospolitej nie przeszkadzało bynajmniej, że w tym samym czasie w armii polskiej istniała licząca od kilkuset do kilku tysięcy ludzi lekkozbrojna jazda „wołoska”, rekrutująca się z najemnych żołnierzy – Rumunów. Podobnie gospodarowie rumuńscy posługiwali się chętnie najemnymi żołnierzami – Polakami. Ci ostatni, zwłaszcza w Mołdawii, dochodzili z czasem do wysokich stanowisk, pracując na dworach gospodarów i bojarów rumuńskich, jako dyplomaci oraz sekretarze prowadzący korespondencję łacińską i polską.

Szkolne podręczniki historii, zaliczające do kanonu wiedzy każdego maturzysty Wielką Emigrację, nie wspominają, że pierwszym w polskich narodowych dziejach większym uchodźstwem politycznym było schronienie się w Mołdawii stronników pokonanego w Wielkiej Wojnie Północnej króla Stanisława Leszczyńskiego, pruszwedzkiego konkurenta Augusta II Mocnego? Do Benderów (dzisiejsza Mołdawia) przedostało się wówczas około trzy tysiące polskich żołnierzy, pod dowództwem Józefa Potockiego, Jana Sapięhy i Michała Wiśniowieckiego. Druga fala polskiej emigracji politycznej to żołnierze konfederatów barskich, pokonanych w kraju przez interwencyjne wojska rosyjskie. Znaleźli oni schronienie w Jassach. Ćwierć wieku później w Rumunii pojawiła się kolejna fala polskiego uchodźstwa. Po klęsce insurekcji kościuszkowskiej, kierując się patriotycznym hasłem *kto kocha ojczyznę, niech idzie na Wołoszczyznę*, do Mołdawii i Bukaresztu przybyło prawie dwa tysiące żołnierzy i oficerów. To oni stali się zalążkiem Legionów generała Jana Henryka Dąbrowskiego. Część uchodźców „od Kościuszki” pozostała i osiedliła się w północnej Mołdawii, dając początek miejscowej Polonii. Także po upadku powstania listopadowego na ziemiach rumuńskich znaleźli się żołnierze korpusu generała Józefa Dwernickiego, ale o tym w szkolnych podręcznikach także nie ma wzmianki. Trudno zatem poszukiwać informacji, iż w tym samym czasie na Bukowinę napływać zaczęła w poszukiwaniu chleba emigracja zarobkowa: górnicy z Wieliczki i Bochni, górale żywieccy (czadecy) oraz bezrolni chłopcy z przeludnionych podtarnowskich i podrzeszowskich wsi.

Zmiany geopolityczne, będące rezultatem pierwszej wojny światowej, i rumuńskie tendencje nacjonalistyczne nie zaciążyły na poprawności obopólnych stosunków w całym międzywojennym dwudziestoleciu, tym bardziej, że po 1918 roku nie istniały spory dotyczące ustalenia wspólnej granicy. Więcej – w okresie międzywojennym Rumunia była jedynym sąsiadem Rzeczypospolitej, z którą nie miała ona żadnych zatargów, czego nie można było powiedzieć ani o Litwie czy Czechosłowacji, o radzieckiej Rosji i III Rzeszy nie wspominając. Wzorem nienaganych kontaktów politycznych bardzo dobrze układała się współpraca wojskowa. Polska eksportowała do Rumunii samoloty myśliwskie *P-11c* i *P-24* oraz bardzo nowoczesne średnie bombowce *PZL-37 Łoś*. Funkcjonowały związki bliźniacze między wybranymi jednostkami wojskowymi: marszałek Józef Piłsudski był honorowym dowódcą rumuńskiego 16. Pułku Piechoty stacjonującego w Falticeni koło Czerniowiec, zaś 57. Pułk Piechoty z podpoznańskiego Biedruska nosił imię króla Karola II. Król Rumunii był honorowym dowódcą pułku i osobiście uhonorował jego sztandar Orderem Michała Walecznego. Także 2. Pułk Szwajców Rokitiańskich tworzył braterski związek z 11. Pułkiem Huzaarów Rosiori.

We wrześniu 1939 roku Rumunia zadeklarowała neutralność, zgadzając się wszak na tranzyt broni do Polski. Kiedy rzesze polskich uchodźców znalazły schronienie w Rumunii, spotkały się z gościnnością i pomocą zarówno rządu, gospodarzo i politycznie uzależnionego od III Rzeszy, władz lokalnych, tudzież miejscowej ludności. Niebagatelne znaczenie dla tego stosunku miało niewątpliwie bliskie polityczne współdziałanie obu państw przed wojną, ale także – może nawet nie uświadomiana przez część Polaków – autentycznie wysoko oceniana przez Rumunów pozycja Polski. Szacuje się, że w czasie pierwszych miesięcy po wybuchu wojny przez terytorium Rumunii przeszło około sto tysięcy uchodźców polskich, z których sześćdziesiąt tysięcy reprezentowało formacje militarne. Zgodnie z zasadami prawa międzynarodowego, których Rumunia przestrzegała, żołnierze i oficerowie polscy zostali początkowo internowani „na wolnej stopie”, w tzw. strefach internowania, jednak wobec nasilania się zjawiska ucieczek, przeniesiono ich ze stref do obozów, o dość dużej swobodzie. Uchodźcy cywilni, reprezentanci wszystkich warstw polskiego społeczeństwa, zarówno administracji szczebla centralnego, lokalnego, rodziny zawodowych wojskowych, jak i zwykli obywatele, uciekinierzy z terenów objętych wojną, korzystali stale z pomocy socjalnej udzielanej przez władze rumuńskie, otrzymali prawo do organizowania komitetów kulturalnych, zakładania szkół polskich, zaś dla tych, którzy chcieli kontynuować naukę na uniwersytetach, państwo rumuńskie tworzyło odpowiednie udogodnienia.

W porewolucyjnej Rumunii historyczna pamięć i polityczne sympatie odżyły. Polska tradycyjnie, a pokomunistyczna szczególnie, cieszyła się w kręgach politycznych, gospodarczych i wojskowych dużym uznaniem za sukcesy reform gospodarczych, roztropne uregulowanie trudnych problemów z sąsiadami, sukces przystąpienia do NATO i postępy na drodze ku Unii Europejskiej. W Bukareszcie żywiono nadzieję, że współpracując z Warszawą i przy polskiej pomocy uda się Rumunii umocnić swoją pozycję w regionie i zwiększyć szansę szybkiego przystąpienia do struktur euroatlantycznych. Nie bez kozery prezydenci Emil Constantinescu i Ion Iliescu oraz premier Radu Vasile swoje pierwsze wizyty zagraniczne składali w Warszawie, gdzie z kolei uważano, że Rumunia – z uwagi na swą słabość wewnętrzną – jest partnerem bardzo trud-

nym i politycznie „mało opłacalnym”. Propagandowo nośna i dobrze zrealizowana wizyta prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego w Rumunii (1999) niczym konkretnym nie zaowocowała. Do niewykorzystanych szans należy zaliczyć także przyjazd marszałek senatu Alicji Grzeškowiak pod hasłem obchodów 60 rocznicy przybycia do Rumunii polskich uchodźców po klęsce wrześniowej, tudzież niedoszłą do skutku wizytę wicepremiera Leszka Balcerowicza. Grzeškowiak, poza nic nie wnoszącymi do rozwoju kontaktów dwustronnych wystąpieniem na forum senatu i udziałem w patriotyczno-religijnych uroczystościach w środowiskach polonijnym, nie dostrzegła potrzeby rozmawiania z liderami Rumuńskiej Partii Demokracji Społecznej (*Partidul Democratiei Sociale din România*), także z Ionem Iliescu, choć było oczywiste, że kilka tygodni później lewica przejmie władzę, zaś w wyścigu do fotela prezydenta wygra Iliescu. Dla polityków spod znaku Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego rozmowy z postkomunistami w prawosławnej na domiar złego Rumunii były poniżej godności. Racja stanu przegrywała w konfrontacji z ideologią, ksenofobią i przekonaniu o jakoby własnej cywilizacyjnej wyższości.

Przejęcie steru rządów w Rumunii przez socjaldemokratów z całą pewnością nie szkodziło polskim interesom. Nowe władze w Bukareszcie, wierząc iż łatwiej znajdą wspólny język z ekipą premiera Leszka Millera, od samego początku zabiegały o poparcie i uznanie Polski, stawianej za przykład skuteczniejszych przekształceń i reform oraz zaawansowania w unijnych negocjacjach. Udział Millera w szczycie kończącym przewodnictwo Rumunii w Środkowoeuropejskim Porozumieniu Wolnego Handlu (CEFTA) w listopadzie 2001 r. został przyjęty w Bukareszcie jako sygnał otwarcia Warszawy na sprawy rumuńskie, zaś zaproszenie szefa polskiej dyplomacji Włodzimierza Cimoszewicza do Bukaresztu jako gościa honorowego na spotkanie ministrów spraw zagranicznych Grupy Wileńskiej dowodem, że Rumunia traktowała Polskę jako promotora swej akcesji do Paktu Północnoatlantyckiego. Opinia Warszawy była wysłuchiwana w Bukareszcie ze szczególną wrażliwością, zaś rumuńscy politycy oraz środki masowego przekazu często określały stosunki polsko-rumuńskie jako partnerstwo strategiczne. Nad Wisłą odzeganiano się jednak od używania tego określenia. Nie mówiono też jednym głosem. Kiedy w Warszawie pojawił się Mircea Geoană, szef rumuńskiej dyplomacji, by wysondować polskie stanowisko w kwestii poparcia w pronatowskich zabiegach i prosić Kwaśniewskiego o przekazanie prezydentowi George W. Bushowi podczas jego wizyty w Warszawie polskiego poparcia, usłyszał, że wprawdzie Polska „w pełni popiera politykę otwartych drzwi”, lecz próby spełnić nie może, bowiem „druga faza rozszerzenia jeszcze się faktycznie nie rozpoczęła”. Rozczarowania nie złagodził późniejszy list ministra Władysława Bartoszewskiego do Geoany, zapewniający w serdecznym, choć niezobowiązującym tonie, iż Polska, świadoma wysiłku podejmowanego przez państwa aspirujące, chętnie podzieli się ze wszystkimi dziewięcioma kandydatami do sojuszu swoimi doświadczeniami z okresu, kiedy sama starała się o zaproszenie do NATO i wyrażający przekonanie, iż wśród ocenianych kandydatów Rumunia zajmie należne jej miejsce, z tym, że przedwczesne byłoby uprzedzanie rezultatów tej oceny. Rozgoryczenie postawą Warszawy osiągnęło apogeum po niefortunnej wypowiedzi Kwaśniewskiego i Václava Havla o prawie Rumunii do NATO. Rumuńska prasa nie kryła wściekłości, a stwierdzenie, że oświadczenia prezydentów „były mało eleganckie” należało do najłagodniejszych.

Z perspektywy euforii, jaka wybuchła w Warszawie po zaproszeniu Polski, Czech i Węgier do NATO w lipcu 1997 roku (a odrzuceniu kandydatury Rumunii), Bukareszt był równie „nieopłacalnym” partnerem wojskowym, jak politycznym. Przegrywał w konfrontacji z Wilnem, Kijowem i Bratysławą. Wielokrotnie ponawiana propozycja powołania wspólnego polsko-rumuńskiego, lub polsko-rumuńsko-ukraińskiego batalionu, względnie brygady sił pokojowych, nie spotkała się z zainteresowaniem strony polskiej. W Warszawie uważano, że zbyt daleko idąca współpraca z Rumunią, nawet w konfiguracji polsko-rumuńsko-ukraińskiej, mogłaby zostać odebrana przez Kijów jako działanie mające na celu zmniejszenie znaczenia polsko-ukraińskich stosunków bilateralnych. Obawiano się, iż zaangażowanie się w rumuńską inicjatywę mogłoby być postrzegane jako przejaw dążeń Warszawy do odgrywania znaczącej roli na południu Europy, gdzie Polska nie powinna mieć priorytetowych interesów. Pokrętnie argumentowano, że ewentualne zbliżenie Warszawy i Bukaresztu w kontekście wspólnej jednostki wojskowej mogłoby być źle postrzegane przez Węgrów, z którymi rumuńskie inicjatywy winny być konsultowane. Podczas, gdy za rzecz oczywistą traktowano zgodę rumuńskiego parlamentu na przejazd przez terytorium Rumunii wojsk polskich z kontyngentu KFOR, zdziwienie budziły rumuńskie sugestie nawiązania kooperacji w produkcji zbrojeniowej. Z niedowierzaniem przyjmowano, że rumuński przemysł zbrojeniowy, głównie lotniczy, mało że funkcjonował, to powoli i uporczywie zdobywał rynki zbytu. Burzyło to zakorzeniony stereotyp o „zacofaniu” Rumunii, tym bardziej, że wiążąca ogromne nadzieje z członkostwem kraju w NATO polska „zbrojeniówka” nie wyszła poza pakiet rozszczeń pod adresem władz. Rumuni byli zainteresowani modernizacją polskich samolotów: *MiG-21* i *MiG-29*, kusili też ciekawym, opracowanym specjalnie pod kątem polskich sił powietrznych programem unowocześnienia samolotów myśliwsko-bombowych *Su-22*. Przez moment polski resort obrony interesował się możliwością zakupu wyspecjalizowanych dział artyleryjskich, produkowanych przez Rumunię dla potrzeb jej własnych jednostek wysokogórskich, lecz inicjatywa umarła śmiercią naturalną. Na organizowanych z dużym rozmachem w Bukareszcie międzynarodowych targach producentów broni, uzbrojenia i sprzętu wojskowego próżno było szukać eksponentów z Polski. Wystawiać się w Rumunii, w oczach polskich firm zbrojeniowych – skądinąd gwałtownie poszukujących rynków zbytu na swoje produkty – uchodziło za dyshonor.

Jeszcze gorzej kształtowały się wzajemne stosunki gospodarcze. Odwołana z powodu przesilenia rządowego w Rumunii wizyta Leszka Balcerowicza dawała szansę zwiększenia roli polskich ekspertów w zakresie wdrażania reform gospodarczych i – w konsekwencji – ożywienia współpracy gospodarczej polsko-rumuńskiej. Podjęte przez rząd Adriana Năstase działania przyspieszające reformy gospodarki i państwa formalnie ułatwiały wchodzenie na rynek rumuński polskich inwestorów i eksporterów oraz umacnianie się pozycji gospodarczej Polski w tym kraju. Niezbędny był wszak wysiłek drugiej strony: polskich resortów odpowiedzialnych za problematykę gospodarczą i zaangażowanie organizacji polskiego biznesu. Zainteresowanie było znikome, promocja i aktywność pożałowania godne, stawiające Polskę na wstydliwie dalekim miejscu (w drugiej pięćdziesiątce) pośród inwestorów zagranicznych w Rumunii. Polskie firmy obecne w Rumunii można było policzyć na palcach jednej ręki. Także polskich biznesmenów gotowych zaryzykować tam pieniądze. Najlepszym „ambasadorem”

spraw polskich stał się Jan Paweł II. Na marginesie pierwszej wizyty papieża w kraju prawosławnym (1999) Polska ponownie – lecz na chwilę – stała się w Rumunii obecna; polityczny establishment i media nawiązywały do „Solidarności”, transformacji ustrojowej oraz polskiej drogi wychodzenia z socjalizmu.

Impas przełamało dopiero zaproszenie w 2002 roku polskiego prezydenta – jako jedynej głowy państwa spośród krajów członkowskich NATO – do Bukaresztu na „Wiosnę Nowych Sojuszników”. Tym razem Kwaśniewski oczekiwań nie zawiódł: zapewnił Iliescu, że Polska udzieli pełnego politycznego poparcia dla starań Rumunii o członkostwo w NATO. Metamorfoza ta nie była skutkiem gwałtownego wzrostu polskich sympatii. To w Waszyngtonie zaczęto cieplej mówić o Rumunii, zaś ewentualność znalezienia się jej wśród zaproszonych do NATO zwiększyła zainteresowanie Warszawy potencjalnym sojusznikiem militarnym i partnerem biznesowym. W 2008 roku doliczyć się można było w Rumunii kilkudziesięciu polskich firm; liczba „ekspatriantów”, czy też jak sami o sobie mówią – „ekspiatów”, którzy możliwość robienia interesów w Bukareszcie przedłożyli nad uroki Londynu lub Dublina wzrosła do kilkuset.

Po przystąpieniu Rumunii i Bułgarii do Unii Europejskiej Polacy z ulgą skonstatawali, że w unijnej konkurencji już nie są w ogonie, i to zarówno w całej wspólnocie, jak i w grupie państw „neofitów”. Teraz „silna” – i na razie niezagrożona – pozycja pozwala polskim politykom paternalistycznie traktować tych z krótszym unijnym stażem. Drażni ich wprawdzie postawa „starych” członków Unii, że niekoniecznie podzielają polski punkt widzenia na Ukrainę i Rosję, dziwi zarazem, że Rumunii ośmielają się mieć własne zdanie na temat Mołdawii, swojego wschodniego sąsiada, i nie popadają w unijny entuzjazm w sprawie Kosowa.

1 stycznia 2007 roku mołdawsko-rumuńska granica na Prucie stała się wschodnią granicą Unii Europejskiej. Mołdawia stanowi szczególnie i najciekawszy przypadek spośród trzynastu nowych sąsiadów UE. Opiniotwórczy „The Economist”, jeżeli już zamieszcza materiały poświęcone Mołdawii z reguły tytułuje je: *Nowhereland; The land that time forgot; A smuuglers' paradise; The Black hole that ate Moldova*. Bowiem Mołdawia funkcjonuje w świadomości Zachodu – o ile w ogóle funkcjonuje – jako ogniwo łańcucha tranzytowego nielegalnych imigrantów, „rezerwuarek” do nie rejestrowanych transplantacji, wreszcie jako ojczyzna tysięcy prostytutek i pracujących na czarno robotników. Z Mołdawią kojarzy się przede wszystkim utrzymująca się praktycznie przez cały okres funkcjonowania państwa recesja gospodarcza, która doprowadziła do ogromnego zubożenia społeczeństwa i cywilizacyjnej degradacji, a Mołdawię do statusu najuboższego państwa Europy. Endemiczna korupcja przybrała rozmiary zagrażające moralnym podstawom państwa. Codzienne, rzeczywiste i domniemane skandale z udziałem czołowych postaci życia publicznego skutkują swoistym znieczuleniem społeczeństwa i podmywają jego zaufanie do instytucji demokratycznych i klasy politycznej jako całości. To wszystko powoduje, że współczesna Mołdawia jest krajem zadziwiająco niestabilnym, rozdartym, pełnym konspiracyjnych teorii, niepokojów politycznych i wahań społecznych. Trzy społeczności – rumuńskojęzyczni Mołdawianie, tureckojęzyczni Gagauzi i rosyjskojęzyczni Naddniestrzanie – obwiniają siebie wzajemnie za „sztuczną konstrukcję polityczną” kraju.

Kiedy „starzy” Europejczycy otwarcie mówią Mołdawianom – zapomnijcie o integracji z Unią i starajcie się być jej „dobrym sąsiadem”; nie chcemy, by z Besarabii

przenikała do nas przestępczość, przemysł i handel żywym towarem (na te kwestie w pierwszej kolejności przeznaczana jest tzw. europejska pomoc dla Mołdawii) – w Kiszyniowie nadal żywi się przekonanie, że jednak Unia Europejska zrobi wyjątek i zarezerwuje jedno obiecujące miejsce wśród krajów bałkańskich, które przystąpią doń w następnej kolejności. Przekonanie Kiszyniowa podziela Bukareszt.

Rumunia, już jako państwo unijne chciałaby być klamrą spinającą interesy „atlantyckie”, „europejskie” i „czarnomorskie”. Postrzega się w roli eksperta w zakresie konfliktów regionalnych na Bałkanach i w basenie Morza Czarnego oraz koordynatora współpracy państw tego regionu. Jako cel dalekosiężny stawia sobie wypracowanie trwałych podstaw kooperacji i przewyciężenie tradycyjnych, historycznych podziałów na imperialne strefy wpływów. Chociaż nie za wszelką cenę i przy – przynajmniej – akceptacji krajów ościennych⁸. Mając na uwadze geograficzne sąsiedztwo i jedność narodu poczuwa się do odpowiedzialności przed UE i NATO za to, by Mołdawia nie stała się „czarną dziurą” zachodniej demokracji i wyłomem w murze obronnym sojuszu. Uważa, że powinna stać się dla Mołdawii przykładem, jak można skutecznie połączyć kulturę prawosławną z nowoczesnymi liberalno-demokratycznymi wartościami; być swego rodzaju podporą socjologicznej i kulturowej reorganizacji regionu⁹.

W lipcu 2006 roku prezydent Traian Băsescu rzucił pomysł zjednoczenia Rumunii i Republiki Mołdawii oraz wspólnego ich przystąpienia do UE. Byłoby to – jak sugerował – swoiste zjednoczenie, sposób, poprzez który narody europejskie proponują zniesienie granic oraz różnic historycznych w imię wspólnej tożsamości, tym bardziej naturalne, że zniosłoby granice dzielące naród mówiący tym samym językiem, mający tę samą kulturę i historię. Przystąpienie do UE w formie stowarzyszenia Rumunii i Mołdawii mogłoby się okazać projektem o wiele mniej utopijnym niż odzyskanie Naddniestrza, przynajmniej dopóki Rosja utrzymywał tam będzie swoje wojska. Rumunia mogłaby być adwokatem Mołdawii w Europie. Kolejnym papierkiem lakmusewym rumuńskiej opcji unijnej „polityki sąsiedztwa” był pomysł Băsescu włączenia Mołdawii do grupy państw Zachodnich Bałkanów. I chociaż – argumentował – o żadnych konkretnych terminach nie może być mowy, taka perspektywa mogłaby zapewnić Mołdawii przepustkę do UE, tym bardziej, że włączona ona już została do Procesu Współpracy w Europie Południowo-Wschodniej (SEECP) w charakterze obserwatora, oraz do Paktu Stabilności dla Bałkanów Zachodnich.

Băsescu, wydawałoby się wizjoner, okazał się wytrawnym graczem politycznym: mówiąc o „rumuńsko-mołdawskim zjednoczeniu” i wspieraniu mołdawskich aspiracji integracyjnych w zamian za prorumuńskie akcenty przy okazji roztoczył wizję zintegrowania Mołdawii z europejskim systemem energetycznym (pozwoliłoby to obydwu krajom uzyskiwać dochody z tranzytu energii elektrycznej); przekonując do „zachodnio-bałkańskiej” opcji, doskonale wiedział, że ani pomysł rumuńskiego prezydenta, ani

⁸ Băsescu nu vrea să fie lider regional [Băsescu nie chce być regionalnym liderem], „Adevărul” z 27.04.2006. Zob. też: odczyt ministra spraw zagranicznych Rumunii Mihai-Răzvana Ungureanu pt. *Perspektywy integracji europejskiej – stanowisko Rumunii jako przyszłego członka UE* wygłoszony w Ambasadzie Rumunii w Berlinie w dniu 7.02.2006 r.

⁹ R. Gorincioi, *Bulding partnerships with moldova's neighbours and strategic international players*, „Strategic Impact” 2005, nr 4. Por.: G. Badescu, O. Sum, *Civil society development and democratic values in romania and moldova*, „East European Politics and Societies” 2005, nr 18(2).

nawet jednogłośnie wola polityczna mołdawskiego parlamentu nie wystarczą. Bășescu pokazał sceptykom, że nowym, centroprawicowym władzom Rumunii udało się przełamać wieloletni impas w stosunkach z Kiszyniowem, czego nie udało się socjaldemokratom.

Problem w tym, że rumuńska mediacja ma równie wiele wad, co zalet.

Po pierwsze – pomysł, że Mołdawia mogłaby przystąpić do UE za pośrednictwem jakiejś formy zjednoczenia z Rumunią był politycznym balonem próbnym wysłanym z Bukaresztu w stronę Kiszyniowa. Unia w żaden sposób nie zezwoliłaby Bukaresztowi na przedstawienie takiej propozycji Kiszyniowowi. Niemożliwe również, aby Bukareszt zwrócił się z takim pomysłem do Brukseli, ponieważ postawiłby pod znakiem zapytania przystąpienie samej Rumunii do UE. Unia, która i tak bez entuzjazmu traktowała członkostwo Rumunii, nie była zainteresowana by ta „w wianie” wniosła Mołdawię z jej problemami i z Naddniestrzem (nie dopuściłaby też do utraty lewobrzeżnej Mołdowy i przekształcenia jej w drugi Kaliningrad). Do UE nie można było przystąpić „na skróty” i Bășescu doskonale o tym wiedział. Nie było także jego zamiarem podkreślanie problemów związanych z kwestiami historycznymi oraz tożsamości narodowej, w tym zwłaszcza wracania do silnie upolitycznionej dyskusji „Mołdawianin czy Rumun”. Negatywne efekty takiego podejścia do sprawy były od dawna znane w Mołdawii: podziały w społeczeństwie, odwrócenie uwagi od rzeczywistych problemów, wzajemne ataki w mediach oraz utrata zaufania między oboma brzegami Dniestru. Nie była to także zawołana nostalgia za „ziemiami utraconymi”, albowiem polityka oparta na kryteriach historycznych nie jest rozumiana we współczesnej Europie. Nie chciał dopuścić do nowej rundy polemik między Bukaresztem a Kiszyniowem, której tematem byłyby kwestie związane z historią i tożsamością narodową.

Po wtóre – państwo będące wschodnią granicą NATO i UE ma nie tylko „etniczny”, także „sojuszniczy” i „wspólnotowy” obowiązek zapewnić stabilizację na granicznym Prucie. Rumunia w czasie sprawowania prezydencji w OBWE (2001), aby uniknąć wrażenia stronniczości, problematykę Mołdawii, Naddniestrza i stacjonujących tam wojsk rosyjskich przekazała Portugalii. Nie oznacza to w żadnym wypadku, że przestała się Mołdawią interesować. Przeciwnie – jest żywnie zainteresowana osiągnięciem postępu w sprawach wycofania rosyjskich wojsk i przewyciężenia secesji Naddniestrza i czeka sposobnej chwili, by ponownie zaistnieć w roli mediatora. Bezskutecznie. Z jednej strony Bruksela, która nie ukrywa, że sytuacja w Mołdawii ma bezpośredni wpływ na bezpieczeństwo Rumunii, a tym samym UE, nie przyznaje też Bukaresztowi żadnej roli w tej kwestii, z drugiej – rozwiązanie zamrożonego konfliktu o Naddniestrze przekracza dyplomatyczne możliwości Bukaresztu i choć Rumuni poczytują to sobie za punkt honoru trudno oczekiwać, że prowadziliby taką politykę samodzielnie. Rumuńska „mapa drogowa” musiałaby stać się przedmiotem negocjacji z UE i NATO, a następnie z innymi mediatorami – Rosją, Ukrainą, USA i OBWE.

Po trzecie – „rumuńską opcję” musiałaby zaakceptować Mołdawia. Lecz mołdawskie aspiracje postrzegane z zewnątrz wydają się być sprzeczne i nieszczerze. Przede wszystkim zdziwienie budzi stanowisko politycznych elit, które mimo swej proeuropejskiej retoryki trzymają się uporczywie pewnych anachronicznych kwestii, niezrozumiałych i nieakceptowanych w cywilizowanym świecie. Komunistyczne władze związane z „ideologią mołdawską” (to znaczy – separatystyczną wobec reszty narodu

rumuńskiego) nie chcą ani do NATO, ani do UE. W szczególności z pomocą Rumunii. Byłoby to sukcesem rumuńskiej dyplomacji, za który Kiszyniów musiałby się odwdziżyć Bukaresztowi. Świadomość, że Mołdawia mogłaby stać się kandydatem do przystąpienia do Unii tylko w przypadku partnerstwa z Rumunią, bo to Rumunia jest jedynym mostem mocno wiążącym Besarabię z Bałkanami, a przez to i z UE, jest dla rządzących w Kiszyniowie porażająca. Reakcja prezydenta Mołdawii Woronina nie pozostawia złudzeń: „Rumunia to jedyne imperium, jakie pozostało w Europie. [...] Jeśli dalej będą tak postępować, to problem stosunków mołdawsko-rumuńskich wykroczy poza nasze granice. Będziemy musieli poprosić o interwencję społeczność międzynarodową, bo nie będzie innej drogi, by pozbyć się naszych krewnych. [...] Mołdawia wcale nie prosiła swojego zachodniego sąsiada o wstawiennictwo w Brukseli”¹⁰. Wobec takiego *dictum* swoich władz rumuńskojęzyczni Mołdawianie – podobnie jak niegdyś obywatele NRD – „głosują nogami”. Po tym jak wielu z nich wyjechało na stałe do Rumunii bądź uzyskało obywatelstwo rumuńskie, nie zrzekając się jednocześnie obywatelstwa mołdawskiego, jeżeli – *horribile dictu* – około 80% społeczeństwa udałooby się uzyskać rumuńskie obywatelstwo, to powstałoby precedens na historyczną i polityczno-gospodarczą skalę – większość obywateli kraju pozostającego poza granicami UE stanowiliby obywatele Unii.

Ciekawe jest zjawisko niesymetryczności pewnych wyobrażeń. Na pewno trudno zrozumieć, dlaczego stereotyp Polaka obecny w Rumunii nacechowany jest wieloma pozytywnymi elementami. Polacy z zasady spotykają się z entuzjastycznymi reakcjami, czego nie można powiedzieć o drugiej stronie, bo stereotyp Rumuna – „brudnego, żebrzącego Cygana” – jest w Polsce powszechny. Lecz wyjątki zdają się potwierdzać regułę. Wykształceni w Polsce obywatele rumuńscy polskiego pochodzenia do niedawna nie znajdowali zatrudnienia zarówno w przedsiębiorstwach, jak i w administracji. Traktowani byli nieufnie, wręcz szykanowani. Wypominano im polskie wykształcenie, jako rzekomo nieprzydatne w warunkach rumuńskich, zaś zbiurokratyzowane procedury nostryfikacyjne były sztucznie komplikowane i przedłużane w czasie¹¹. Z kolei bliskość etniczna i kulturowa autochtonicznej większości ludności Mołdawii i Rumunów okazuje się częściej powodem zacieklej publicznych polemik niż czynnikiem sprzyjającym harmonijnemu ułożeniu stosunków. Oba państwa stały się zakładnikami własnej historii i wielkiej polityki. Do animatorów tego stanu rzeczy z trudem dociera refleksja, że histeria nie rozwiąże problemów historii.

* * *

Europejczycy mówiąc o „Europie regionów” lub „ojczyźnie Europie” tak naprawdę potrzebują „Europy ojczyzn”. Zdrowy etnocentryzm wynika z powinności wobec własnego narodu i państwa. Może być rozumiany jako postawa patriotyczna. I taki ma w zjednoczonej Europie szansę, stanowi o jej tożsamości. Bowiem mottem zjednoczonej

¹⁰ *Presedintele Vladimir Voronin considera ca Romania „trebuie sa inceteze interventia in Republica Moldova”*, „Moldova Azi” z 18.12.2003.

¹¹ E. Kłosek, *Obalanie stereotypów czyli syzyfowa praca*, „Polonus” 2000, nr 11.

Europy jest „jedność w różności”. Powinni pamiętać, że ojcami założycielami europejskiej wspólnoty było trzech ludzi o zadziwiająco podobnych biografiami i politycznych przekonaniach: Francuz Robert Schuman, Włoch Alcide De Gasperi i Niemiec Konrad Adenauer. Wszyscy trzej pochodzili z pogranicza. Schuman i De Gasperi zmieniali swoje narodowości i służyli w swoim życiu dwóm państwom. Schuman, jako żołnierz, w pierwszej wojnie światowej służył w niemieckiej, w czasie drugiej – we francuskiej armii, De Gasperi był posłem do parlamentu austriackiego, później włoskiego. Także Nadreńczyk Adenauer miał problemy ze swoją narodową tożsamością. Polityczna formuła ich politycznego programu zwała się prosto – Europa. Odkryli, że Europejczyków więcej łączy, niż dzieli. Jedność Europy jako cel polityczny zastąpiła im narodowo-państwowy szowinizm.

W tym kontekście Polacy i Rumunii powinni mieć pełną świadomość, że zarówno Polska, jak i Rumunia są krajami, które jeszcze długo będą z Europy więcej brać, niż jej dawać. Ten stan „uzależnienia” trafnie ujął Günter Steinbach pisząc: „Pół wieku temu Stany Zjednoczone domagały się od Europejczyków swoistego wkładu: Europa musi uwolnić się z niezrozumiałej z amerykańskiego punktu widzenia (z uwagi na rozmiar terytorialny USA) drobnopañstwowej zaściankowości i możliwie jak najściślej zjednoczyć się. Był to warunek amerykańskiej pomocy politycznej, wojskowej i gospodarczej”¹². Trawestując tę myśl trudno nie zauważyć, że obecnie „stara” Unia Europejska oczekuje i od Polski, i od Rumunii (także od innych nowych członków) wyzbycia się niezrozumiałego z „europejskiego” punktu widzenia prowincjonalizmu. Kiedy zaściankowość ustąpi pola regionalizmowi, zarówno w myśleniu jak i w działaniu, będzie to warunek nie tyle szeroko rozumianej pomocy, bo ta i tak płynie szerokim strumieniem, co cywilizacyjnego skoku. Statystycznemu mieszkańcowi Rumunii i statystycznemu mieszkańcowi Polski można zasadnie zarzucić, że nie przyznają, jak wiele zawdzięczają Unii Europejskiej, bo dzielą ich Karpaty, tudzież kilka imponderabiliów (religia, język, tradycja), że jednym z katalizatorów, wspólnym mianownikiem dla teraźniejszości jest Europa.

¹² G. Steinbach, *Przełomowe dni Europy: 10 wydarzeń, które wpłynęły na dzieje kontynentu* [*Schicksalstage Europas: 10 Ereignisse, die den Kontinent prägten*], tłum. K. i J. Solak, Warszawa 2004.